

Rozmowa z Jolantą Nitkowską - Węglarz i Urszulą Kwasińską, prowadzenie: Aleksandra Karnicka

AK:

Dzień dobry Szanowni Państwo, dzień dobry. Dzisiejsza rozmowa jest drugą z cyklu spotkań ze słupszczanami w ramach realizowanego przez Słupski Ośrodek Kultury projektu pod nazwą Słupskie Kroniki Dźwiękowe w ramach programu Patriotyzm Jutra edycja 2025. A dzisiaj jest z nami Pani Jolanta Nitkowska-Węglarz. Słupszczanka, ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Gdańskim i studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim. Dziennikarka, publicystka, autorka książek popularyzujących historię Pomorza i baśni. Jest z nami również Pani Urszula Kwasińska, która jest przyjaciółką Pani Jolanty i będzie wspierać nas dzisiaj podczas tego spotkania.

Pani Jolanto, znajdujemy się w kawiarni Pegaz. Jesteśmy w miejscu, które ma swoją historię w Słupsku, ale też zapewne w Pani życiu. Czy ma Pani jakieś szczególne ciepłe wspomnienie związane z tym miejscem?

JNW:

Oczywiście, że mam. Ale zanim zacznę opowiadać o Pegazie, o ul. Wojska Polskiego i o latach 50. i 60., tak jak je zapamiętałam, to chciałabym namalować taki mały portret tamtego czasu. Lata 50. to nie jest wcale taki łatwy czas w dziejach słupskich, ale przekłada się na to bardzo wiele wydarzeń.

Cóż się działo w latach 50.? W czasie, kiedy się urodziłam, a urodziłam się w pięćdziesiątym drugim roku, po drugiej stronie ulicy, tam gdzie jest balkon, to jest właśnie mój dom rodzinny, w którym przysłałam na świat w pięćdziesiątym drugim roku. No i w tymże pięćdziesiątym drugim roku miało miejsce kilka wydarzeń, o których warto pamiętać. Oczywiście jestem z dala od polityki, z dala od historii, zostawiam to znawcom tych tematów, natomiast pierwsze wydarzenia, które kojarzą mi się z czasem mojego przyjścia na świat, to są kartki na mydło, kartki na proszek, troszkę później, bo w maju, kartki na cukier, troszkę wcześniej, bo w pięćdziesiątym pierwszym roku, kartki na tłuszcz.

Ale to jest też czas, kiedy po raz pierwszy zadziałała rozgłośnia Radia Wolna Europa, kiedy stworzono w Polsce telewizję, ale pierwszy program ruszył dopiero za rok, czyli w pięćdziesiątym trzecim roku. Natomiast w Słupsku jestem dokładnie równolatką i rówieśnicą Baru Poranek, który też na mojej ulicy się mieścił i właśnie przez całe życie mi towarzyszył, bo on ma dokładnie tyle lat, ile ja. Jeszcze w tym samym czasie trzeba powiedzieć o powstającym, o wydarzeniach, które są jakby już dzisiaj zapisane tylko w pamięci rodziców, właściwie naszych.

Mianowicie rok temu dowiedziałam się od doktora Garbicza, że pierwsze lata 50., to był w Słupsku wysyp gruźlicy spowodowanej nie przenoszeniem, tak jak jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że ludzie kaszlący te gruźlice przenosili. Nie, doktor mnie uświadomił, że wtedy był... koszmarne dokuczliwa była gruźlica przenoszona przez pożywienie, przez mleko chorych krów. Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam, a więc jest to dla mnie jeszcze jakiś dodatkowy czas, dodatkowe wyjaśnienie wydarzeń, o których nie mogłam wtedy wiedzieć, a dzisiaj z

perspektywy lat miały one dość duże znaczenie, bo właściwie z tego, co mówił doktor, nie było prawie ulicy, na której nie byłoby chorych dzieci.

Przyczyną było właśnie mleko. A teraz wracam do tego Pegaza, gdzie jesteśmy. Pegaz to było takie miejsce, które widziałam z balkonu, ale ono miało swoją bardzo szczególną rolę w naszym życiu.

Mama moja była sprzedawczynią. Pierwszy sklep, w jakim pracowała w 1949 roku, to był ruch ulicy Kołłątaja, róg ulicy Wojska Polskiego, to był pierwszy sklep spożywczy, a drugi to był dzisiejszy magiel. Kiedy mama z tego magla wracała, magla mówię, dzisiaj mówimy, dzisiaj jest to magiel, ale gdy mama z tego sklepu wracała i dostawała wypłatę, to pierwsze kroki były zawsze tu, do Pegaza, i kupowała mama "Tygryska" dla ojca, a dla dzieci książeczkę. Później zaczęły być w kioskach Świerszczyki, Płomyczki, Misie, i to już trochę się ta opcja książkowa trochę się zmniejszyła, ale dalej raz w miesiącu ta książka była kupowana.

AK:

Wróćmy w takim razie na ulicę Wojska Polskiego, gdzie spędziła Pani dzieciństwo. Jak to się wydarzyło, że Pani rodzina otrzymała mieszkanie właśnie na tej ulicy? Jak wyglądało wtedy Śródmieście i jak wyglądała ulica Wojska Polskiego?

JNW:

No właśnie, z moją rodziną to jest trochę przedziwna historia, bo tak, moja mama była na robotach w Niemczech aż do 1949 roku i wróciła z Niemiec ostatnim transportem, jaki jechał do Polski, statkiem z Bremen do Szczecina, a jak zobaczyła Szczecin cały zburzony, to chciała z powrotem do Niemiec wracać.

Natomiast pierwsze w Słupsku pojawiły się trzy moje ciotki, dwie siostry mamy i jedna siostra ojca. One pojawiły się tu w 1945 roku. Ciotka Teodozja tworzyła w 1945 roku fabrykę Pomorzankę, mimo że w historii Słupska ta data jest późniejsza, ale ja mam zdjęcia, w których widać ciotkę na tle napisu Pomorzanka i na pewno to nie były lata 50, tylko było to po 1945 roku, bo ona już w latach 50, to już w Warszawie następną fabrykę cukierków uruchamiała. I w tym mieszkaniu mojej ciotki, tam na Wojska Polskiego, której jej się pewnie z racji prestiżu, zawodu i tego, że jednak była tutaj pionierem, robiącym coś ważnego - należało. Do tego mieszkania w 1949 roku wprowadziła się moja mama, która przeprowadziła za sobą ojca. A ojciec też od 1945 roku był w Słupsku.

Tutaj się pobrali i ślub wyglądał w ten sposób, że mama tak jak wstała tyle, że zdjęła fartuch. Ojciec przyszedł po prostu z pracy, poszli do urzędu, zarejestrowali się i to był cały ślub. Natomiast dla mnie to był dom rodzinny, który był bardzo ważny w moim życiu, bo tu się wszystko zaczynało. Najcenniejsze i takie najbardziej dziwne doświadczenie było z biblioteką, bo ta ponemiecka biblioteka była ogromna, naprawdę ogromna. Więc ktoś, kto zajmował to mieszkanie do 1945 roku, musiał być bardzo mądrym, czytającym człowiekiem. Ale do czego ta biblioteka się później przydawała? Mój ojciec, było tam mnóstwo baśni, baśni pięknie ilustrowanych. Mój ojciec otwierał te książki, wykorzystywał ilustracje i zmyślał baśnie, które w jakiś sposób były związane ze Słupskiem i w tym Słupsku nas zakorzeniały.

AK:

Chciałam właśnie zapytać, bo znalazłam taką informację o Pani, że wspiera pani lokalną społeczność w budowaniu tożsamości i marki naszego miasta. Zastanawiałam się, co kierowało panią w tym, żeby prowadzić niemal detektywistyczną pracę i odkrywać historię Pomorza. Ale przy poprzednim spotkaniu powiedziała Pani właśnie, "człowiek nie może żyć bez korzeni" - To słowa pani taty. Proszę powiedzieć, jak ojciec szukał tożsamości dla was, dla waszej rodziny w tym nowym, zupełnie dla niego mieście?

JNW:

Mój ojciec był prostym człowiekiem. Pracował początkowo w tartaku, później w Famarolu, gdzie właściwie aż do emerytury całe swoje życie tam spędził. Ale on był głęboko przekonany, że właśnie człowiek nie może żyć bez korzeni, że musi mieć korzenie. A ponieważ my wzięliśmy się tu znikąd, niczego o tej ziemi nie wiedząc, więc ojciec te korzenie zmyślał. Ale zmyślał w ten sposób, że jak mówię, brał dekoracje i do tych dekoracji dorabiał jakąś fabułę. I tak było ze skrzatami, które mieszkały na Sienkiewicza, w bunkrze, bo to był przecież schron, to wypukłe wzgórze. W taki sposób znaleźliśmy się w Słupsku, że beczka z wilkiem, przed którym ojciec się bronił i uciekał potem. I ten wilk uciekał razem z ojcem z beczką i ta beczka się rozbiła w lasu południowym o kamień i stąd się wzięła rodzina Nitkowskich w Słupsku. Ale to jest taka zmyślona historia, którą ja z dzieciństwa pamiętam. Skoro dla mnie była ważna, więc całe życie wychodziłem z przekonania, że dla wszystkich jest ważne mim byli ich rodzice, kim byli ich dziadkowie, skąd się tu wzięli. Tu jakby na Pomorzu nie pojawiały się te opowieści rodzinne z wielu powodów. Nawet ograniczenia tkwiły w samych ludziach, którzy się tu znaleźli z takich czy innych powodów.

Natomiast dzieciom trzeba było już, dla dzieci trzeba było to miejsce oswoić. Bo tak jak mój ojciec i moja mama, to właściwie oni byli tutaj, ale ja jestem stąd. Ja się tu urodziłam, więc jakby moje potrzeby były zupełnie inne niż ich. Głęboko byli oboje przekonani, że za jakiś czas wrócą z powrotem do swojego domu gdzieś tam. Natomiast w przypadku mojej mamy nigdy to nie nastąpiło, bo jej dom się okazał ostatecznie cmentarz w Słupsku. Ale ojciec po jej śmierci wrócił do Warszawy. No i w Warszawie jest pochowany. Natomiast kiedy urodziły się dzieci mojej bratanicy, ja stwierdziłem ze zdziwieniem, że tak naprawdę to nic nie przekazaliśmy tym dzieciom. Następne pokolenie po mnie urodziło się w pustce. I tę pustkę trzeba było w jakiś sposób wypełnić. Ja zacząłem to robić jako bardzo dojrzała kobieta, kiedy zdawałam sobie sama sprawę, kiedy zdawałam sobie doskonale sprawę z tego, że coś w moim pokoleniu zgubiono, kompletnie zgubiono. Jako taki sygnał tylko. Kiedy szliśmy do szkoły na wszystkich uroczystościach byliśmy przebrani w stroje krakowskie i tańczyliśmy krakowiaka. A co ma Krakowiak wspólnego do Pomorza? Nic. Po prostu w tamtym czasie nie było ważne jakby nakarmienie dzieci tą tożsamością, czy związanej z miejscem, bo jakby tak importowano to w sposób taki bezrefleksyjny, bo jakim cudem można folklor góralski przenieść na Pomorze? Nie można, bo zupełnie inne wartości się kryją za tożsamością pomorską niż za tożsamością Podhala. I to wszystko trzeba było zbudować. I myślę, że zaczęto dobudować dość późno. Może trochę... Czy za późno? Tego nie umiem powiedzieć, ale chyba dość późno, ale dobrze, że zaczęto.

AK:

Bardzo mi się podobały te opowieści Pani taty i wydaje się, że to one były przyczynkiem wielu książek, które później pani napisała. Chciałoby te opowieści o tych skrzących. Słupsk w latach pięćdziesiątych to ludzie różni, ludzie z różnych stron, którzy musieli nauczyć się żyć obok siebie. Chciałabym zapytać o tę wielokulturowość, ale zaczniemy od początku. Jak wyglądały zabawy na słupskich podwórkach w tym czasie? Czy była jakaś hierarchia na tym podwórku? W co się bawiono i gdzie się bawiono?

NW:

Najpierw, Ola, zanim wejdziemy na podwórko, to przegapiłyśmy ulicę, a ta ulica była bardzo ważna. I proszę sobie wyobrazić, policzyłam wczoraj, ile sklepów było na ulicy Wojska Polskiego w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Dokładnie było dwadzieścia jeden. Dwadzieścia jeden sklepów, ale, już powiem, cztery sklepy spożywcze, trzy pasmanterie, dwa sklepy mięsne, dwa warzywniaki, jeden rybny, jedna kawiarnia, jedna cukiernia, jeden bar mleczny, jedna drogeria, komis, sklep harcerski, fotooptyka, sklepy z materiałami, dwa gospodarstwa domowe, dwa...trzy kioski ruchu, czterech fryzjerów, trzech fotografów, jeden szklarz i trzech zegarmistrzów. Dużo jak na jedną ulicę? Bardzo dużo.

A teraz powiem Państwu, dlaczego ta ulica zaczęła wymierać. Mój mąż, który pływał trzydzieści osiem lat po morzach i oceanach, widział bardzo wiele różnych miast, które się rozwijały, a później upadały. I w momencie, kiedy się pojawił na ulicy Wojska Polskiego pierwszy bank, mój mąż powiedział, ulica zaczyna wymierać. I dokładnie tak było. Kiedy pojawił się drugi bank, zaczęły znikać małe sklepiki, a kiedy zaczęły znikać małe sklepiki, zaczęli znikać ludzie. I jak się pojawił trzeci bank, to ulica już była prawie że martwa. Jak to się przekłada na czas tego naszego życia i na tamte lata? Otóż wszystko w latach 50. i 60. było zasilane tu, na miejscu. Tu był rzeźnik, tu łapali ryby, tu działała mleczarnia i to było tak, na lokalny rynek, małe wytwórnie, mały sklepik, niewielu odbiorców. Tak to działało. W momencie, kiedy się pojawiły wielkie hipermarkety, nie dały rady w konkurencji. Małe sklepiki nie dały rady w konkurencji z nimi i to wszystko zaczęło zamierać. Ale ten trend teraz zaczyna się odwracać i ja w to wierzę, że ten powrót do tamtych jakby obyczajów i do tamtego sposobu życia jest możliwy i im więcej będzie nasilenia naszego myślenia na temat ekologii i na temat właśnie gospodarowania tymi zasobami, tym szybciej to wróci. Ale teraz tak, mówię o ulicy Wojska Polskiego, ale to ona nie była zniszczona. To była dalej ulica prestiżowa i ja się urodziłam jeszcze na Dworcowej i nawet dokładnie nie pamiętam, kiedy ta Dworcowa się na Wojska Polskiego zmieniła. Natomiast całe Śródmieście wokół kościoła było zburzone. To były ruiny, które były dla nas dzieci wiecznym domem zabawy, za co się dostawało lanie, ale należało się, jak się należało, bo to było wszystko bardzo niebezpieczne, to z pokorą się to lanie przyjmowało.

Teraz wracam do naszego domu. Ten dom to było zbiorowisko ludzi. I kieleckie, i Kaszubi, i Niemcy, i warszawiacy, i jedna rodzina Ślęzaków. Ludzie o kompletnie różnych doświadczeniach, kompletnie różnych, wyniesionych z domu przyzwyczajeniach i oni musieli po prostu dogadać się. Nie było jakichś wzajemnych animozji wynikających z tego, a ty to jesteś tam z zą Boga, a ty to jesteś z Kielc, chociaż po cichu w domu ojciec mówił, że w

Kieleckim to psy dupami szczekają, ale to tylko po cichu, jak żaden sąsiad nie słyszał. Natomiast tak na co dzień była bardzo duża współpraca.

Była jedna babcia dyżurna w całym domu. To była właśnie pochodząca ze Śląska z Gliwic i ona opiekowała się wszystkimi dziećmi, które zostawały w domu, kiedy rodzice szli do pracy. Ja jestem dziecko patologiczne, bo ja nie chodziłem ani do przedszkola, ani moi bracia nie chodzili do przedszkola. Nas chowała ulica. Jak nas wychowała, tak nas wychowała, ale niczego, żeśmy się nie bali za to. Natomiast można było w każdym mieszkaniu pójść, zrobić siku, jak się na podwórku zachciało. W każdym mieszkaniu można było przyjść, poprosić o kawałek chleba, czasem posypyany cukrem, czasem polany wodą, posypyany cukrem, ale nikt się jakby tak... Dzieci były pod szczególną ochroną wszystkich dorosłych, ale też było, że jak przynieśliśmy niewybuch na podwórko, to za przeproszenie w tyłek dostaliśmy regularnie od wszystkich sąsiadów, ale nikt nie narzekał, bo to należało się, za niesubordynację, za niesłuchanie dorosłych.

AK:

Chciałam zapytać jeszcze o te szczególne miejsca zabaw, bo słyszałam, że w tamtym czasie dość popularne były schrony jako miejsca zabaw.

JNW:

Matko Święta, były. Pierwszy schron, z którego przynieśliśmy do domu chęłmy, to był tutaj pod sklepem z materiałami i na tyłach tego... gdzie teraz jest po schodkach w dół jakiś fryzjer, to stamtąd było wejście do schronu. To wejście już dzisiaj jest zamurowane, ale w tym schronie były najlepsze zabawy. Drugi schron był na rogu ulicy na rogu ulicy 22 lipca, chciałem powiedzieć, Wileńskiej i Wojska Polskiego. Tam już nie umiem zlokalizować tego schronu, ale z tych schronów przynosiliśmy najdziwniejsze rzeczy, począwszy od talerzyków, a skończywszy na pistoletach zdemontowanych, ale za wszystko, co się przynosiło ze schronu to było lanie w domu, więc to były tajne skrytki, gdzie się to chowało, żeby rodzice nie widzieli.

AK:

A w co bawiły się wtedy dzieci na podwórkach? Czy były jakieś szczególne zabawy?

JNW:

Ula, wspieraj mnie teraz. Ula jest ode mnie starsza, więc ten rejon zna trochę dłużej, niż ja, ale jak poetka przetworzy przez własne myśli i przez własne doświadczenie to, co było na podwórku, to na pewno będzie to sympatyczniejsze słuchanie.

UK:

Podwórko. Zaczarowali kalejdoskop barw i dźwięków mojego dzieciństwa. Jarmark cudów, gdzie rachityczny krzak przemieniał się w afrykański busz. Małpy spadały z jabłonki jedząc niedojrzałe jabłka. Gąsienice syczały trującym jadem żmiji. W deszczowej kałuży huczało wzburzone morze, zatapiając papierowe okręty jednookich piratów. Podział łupów zawsze sprawiedliwy, zgodny z honorowym kodeksem. Wojownicze okrzyki Indian, zgiewek i tumult

oręza z patyków. Strzały, strzelały proce, dudniły blaszane puszki, zagrzewając rycerzy do zacieklej walki. W obronie zamku, tuż za murem śmietnika, odbito też wzięte w jasyr ryczące maluchy i księżniczkę o imieniu Jolcia. Tuż obok na glinianym boisku wrzask kibiców unosił piłkę wysoko, prawie do nieba. Nagle brzdęk tłuczonej szyby i krzyk sąsiada "co z tej bandy wyrośnie?" My szczęśliwe dzieciaki z kamienicy przy ulicy X byliśmy mikroświatami połączonymi nierozzerwalną nicią braterstwa i przyjaźni. Dziś w mieszkaniach pełnych dojrzałości wciąż szukamy smaku prawdy naszego starego podwórka.

JNW:

No właśnie Ula to zrobiła bardzo klimatycznie, natomiast ja dzisiaj po latach to mam takie refleksje, że to podwórko z czasów mojego dzieciństwa, to było najbardziej demokratyczne państwo świata, jakie można wymyślić. Bo tu dla każdego było miejsce. Ten co był mały nie nadawał się jeszcze do gry w piłkę, to przynajmniej tę piłkę podawał. Ten co był silny, był zawsze jakimś tam liderem, jakimś dowódcą jednej czy drugiej drużyny. Przy czym było tak, że był ten mikroświat, na którym były dzieci z jednego podwórka, ale na podchody to już zbierały się bandy, chciałem powiedzieć, ale to chyba takie trochę bandy były. Jedno podwórko przeciw drugiemu podwórku i ten obszar z jednej ulicy Wojska Polskiego zaczynał się rozciągać i rozciągał się aż prawie po Lasek Północny. Tych gier zespołowych było całe mnóstwo i to było tak, że właściwie na świeżym powietrzu spędzaliśmy czas całe popołudnia, że trzeba było nagonić, że trzeba zjeść obiad, że trzeba było nagonić, że już tam pora by była te lekcje, żeby zresztą ktoś się tam jakimi lekcjami przejmował. Nigdy rodzice nie zaglądali do tego, co dziecko robi i po co to robi, bo wierzyli, że ma na tyle samodyscypliny, że samo sobie ze wszystkim poradzi. Ale nigdy żadne dziecko nie było odrzucane. Czegoś, co dzisiaj jest takie bardzo bolesne, bardzo boleśnie dotyka dzieci w szkołach zwłaszcza, to czegoś takiego, takiego odrzucenia nie było. Można być odrzuconym, jak się śmierdziało, jak się miało wszy i jak się kradło. To wtedy można było być odrzuconym z tej grupy, ale tak nie było żadnej przyczyny, czy to dziecko było niemieckie, czy to dziecko było kaszubskie, czy to dziecko było jeszcze jakieś inne. Każde swoją rolę musiało spełniać. Ale, żeby grać w miasta i państwa, trzeba było chodzić do szkoły, trzeba było znać geografii. Żeby grać w pikutki, to trzeba było mieć zręczność. Też nie każdy to umiał, więc jakby ta ilość zajęć na podwórku była zawsze dopasowana do umiejętności i do możliwości tych, którzy brali w tym udział. Jak chłopcy kopali piłkę, to wiadomo, że dziewczyny już tej piłki nie kopały. Ale jak chłopcy przestawali kopać, bo już nie mieli siły, to wtedy dziewczyny grały w zbijanego. Więc jakby to zajęcie było cały czas takie aktywne, że tam nie było przerwy na to. Przerwy to było tylko wtedy, jak ktoś coś zgrandyził i musiał iść do domu albo albo rodzice go zawołali. Przy czym było tak, że wszystko, co było między dziećmi, zostawało między dziećmi. Dorośli się nie wkraczali w żadne awantury podwórkowe, bo wtedy by chyba sobie wszyscy zęby powybijali nawzajem.

AK:

Wielokulturowość przenikała także do domów, zwłaszcza do kuchni. Czy wspomina Pani, czy Panie wspominają, jakie potrawy czerpiące z różnych tradycji gościły na waszych stołach?

JNW:

To jest właśnie ciekawa sprawa, bo tak naprawdę kuchnia słujska, jest coś takiego jak kuchnia słujska, która zrodziła się ze wszystkich przywiezionych tu z różnych stron dań. Przy

czym tak, moja mama, dla mojej mamy na przykład ziemniaki, pierogi z ziemniakami w środku to było coś najgorszego, co można wymyśleć, było absolutnie nie do przyjęcia w kuchni. Pierogi owszem były z mięsem, to były pierogi z truskawkami, to były pierogi, ale ja jakieś pierogi z kartoflami, kto to pomyślał? Natomiast mnie pierogi z kartoflami bardzo smakowały. I pamiętam taką sytuację, że mama kiedyś przyniosła ze sklepu talerz pierogów właśnie ruskich, mówiąc, że jakaś klientka jej takie świństwo przyniosła i chciała ją tym nakarmić. A ja spróbowałam i stwierdziłam, że są rewelacyjne. Po prostu my dzieci nie mieliśmy żadnych uprzedzeń co do smaków. Jedliśmy wszystko, spróbowaliśmy wszystkiego, ale te kuchnie się mieszały i było tak, że na Podlasiu na przykład obowiązkowa na Wielkanoc była zupa grzybowa. W domu naszym była zupa grzybowa. Natomiast u sąsiadów, u sąsiadów moich, którzy byli Kaszubami, była zupa gotowana na rybach. Więc każdy z tych domów miał jakieś swoje upodobania kulinarne, ale one się zaczynały mieszać. Bo to, że moja mama nie lubiła pierogów ruskich wcale nie znaczyło, że pierogi ruskie się w naszym domu nie pojawiły, bo ja je lubiłam. I w taki sposób zaczęło się mieszać to, co było przywiezione z tym, co było tutaj popularne. Co było tutaj popularne? Grzyby i ryby. I te grzyby i ryby zaczęły wchodzić właśnie do kuchni gdzieś tam z południa Polski czy ze wschodu Polski, bo tam nie były znane.

AK:

Ostatni aspekt wspólnoty to wspólne wykonywanie czynności. Czy były takie sytuacje, w których wszyscy sąsiedzi wspólnie wykonywali jakieś czynności i czy te wspólne prace w jakiś sposób cementowały te sąsiedzkie relacje?

JNW:

No i tu wkraczamy do Rzeczypospolitej Babskiej, bo o ile faceci, owszem, mogli się razem napić, mogli razem naprawić jakiś motor, mogli razem pociąć drzewo, które było na podwórku, wrzucić węgiel sąsiadowi do piwnicy, to tyle w świecie kobiety było bardzo dużo tej pomocy wzajemnej. Począwszy od dzieci, które dostawały ciuchy po starszych sąsiadach, buty po kimś tam jeszcze z rodziny, przerabiały wzajemnie sąsiadki ciuchy sobie, żeby było czym się ubrać, ale najwięcej to przy takiej strasznie ciężkiej pracy, jaką było pranie. Pranie to było coś koszmarnego. Tego się nie robiło codziennie. Była w piwnicy taka bardzo duża pralnia, to jeszcze mówimy o czasach przed pralką Franią, czyli gdzie wszystko było prane ręcznie. Były te balie ogromne, ogromny kocioł, w którym gotowała się woda, ale jedna kobieta, to myślę, że miałyby z tym straszny problem. I było tak, że przy tych najcięższych pracach, a najcięższą pracą to było gotowanie bielizny, bo wszystkie pościele, ręczniki, ścierki białe musiały być wygotowane, żeby były lśniaco białe. I te lśniaco białe, później jeszcze krochmalone, więc tu jakby było bardzo zespołowe. Jak któraś sąsiadka poprosiła którąś sąsiadkę o pomoc przy praniu, to nie zdarzało się, żeby ktokolwiek odmówił. I o pomoc przy dzieciach, to też nie można było tego odmówić, bo było wiadomo, że to są takie sytuacje, w których ta współpraca jest bardzo potrzebna. Ale wiesz co, teraz mi się przypomniało, że kiedy kojarzę pierwsze wychodzenie na ulicę, to taką pierwszą wspólną pracą, jaką ja pamiętam z dzieciństwa, to było kiedy Niemki w soboty zawijały sobie na włosach te turbany swoje słynne i wychodziły przed dom z wiadrami i myły ulicę przed blokiem, przed domem, przed kamienicą. I nie pamiętam, w których latach pojawiły się pierwsze sprzętaczkę, ale ten zwyczaj mycia klatki schodowej, mycia okien na klatce schodowej, to było po prostu takie

niepisane prawo, że to robią sami mieszkańcy. Nie wiem jak się dogadywali, czy to były dyżury, czy to było jakoś inaczej, w każdym razie na każdą rodzinę to popadało i każda rodzina musiała się z tego sprzątnąć klatki schodowej, sprzątnąć kawałek podwórka przed bramą, musiała się z tego wywiązać. Więc jakby ta zespołowość była jednak, było jednak myślenie nie tylko o sobie, a o wszystkich. Tych, z którymi się miało do czynienia na co dzień.

AK:

Czy panowała jakaś hierarchia na ulicy? I proszę powiedzieć, dlaczego niektórym sąsiadom mówiło się dzień dobry za każdym razem, kiedy się ich spotykało, czyli kilka razy dziennie czasem?

JNW:

Hierarchia była. Najważniejszą osobą na całej ulicy, to były oczywiście doktory. Doktory były w ilości trzy na całej ulicy, ale dwóch mieszkało dr Posmykiewicz i dr Groński. Mieszkali w domu obok, czyli pod 11 na Wojska Polskiego, no i im trzeba było mówić dzień dobry za każdym razem. Ale z czego to wynikało? Wynikało to z tego, że to były najbardziej szanowane osoby przez rodziców, cieszące się tak ogromnym autorytetem, że do tego autorytetu nikt nie miał szans dorosnąć. No i teraz Ula, powiedz o tej jodynie, bo to leczenie w tamtym czasie to była bardzo ciekawa sprawa. Poza doktorami to jeszcze najważniejszą osobą, która codziennie była ważna dla rodziców to był aptekarz. Tu był aptekarz jeden. Apteka wyglądała dużo bardziej interesująco niż dzisiaj. Były przepiękne takie zabytkowe schody, po których schodził aptekarz, ciemne bardzo. Aptekarz schodził po tych schodach na dół, żeby porozmawiać z rodzicami. Takiej ilości leków, jakie widzimy dzisiaj, takiej ilości chorób, jakie widzimy dzisiaj, to za czasów mojego dzieciństwa nie było, bo wszystko było do ogarnięcia w domu, poza tym, co nie było do ogarnięcia albo co było złamane albo co było już tak chore, że prawie, że umierało.

No i teraz czytaj o tej jodynie Ula.

UK:

Zapachy ze wspomnień moich z dzieciństwa. Kadry z dzieciństwa zatrzymane w czarno-białym filmie. Klatka po klatce, scena po scenie, przesuwały się w mojej pamięci bogactwem zapachowych przeżyć, a szczególnie medyczno-wychowawczych. Jodyna. Ta najokropniejsza, śmierdząca przyczyna dziecięcych męczarni. Jej dezynfekującego szczypania nie wytrzymywali nawet podwórkowi herosi, lali łzy i darli się w niebogłosość na całą kamienicę. Bez zbędnych kazań, na długo zapamiętali. Chodzić po szklach i gwoździach nie wolno. O, dalej. Rycyna, oleista odrażająca maść. Powąchasz i już masz przeczyszczające mdłości. Była dla małego kłamczucha winowajcy z bolącym brzuchem dostateczną karą za zjedzone niedojrzałe jabłka z ogrodu sąsiada. Stawianie baniek i drażniący zapach płonącego denaturatu w oczach prerażanego kaszlącego delikwenta był widokiem z pogranicza mąk piekielnych żywcem wyjętych z kazań naszego proboszcza. Babcia, chodzący poradnik medycyny naturalnej łagodnie nacierała duszącym olejkiem kamforowym zmaltretowane bańkami plecy kochanego wnuczka. Poita herbatką z malin i lipy, przykrywała nieszczęśnika po sam czubek nosa ogromniastą pierzyną, pocieszając go. Wypocisz się, poleżysz i znów będą sanki. Tylko pamiętaj, szalik i czapka. Nazajutrz z samego rana kubek gorącego mleka ze śmierdzącym czosnkiem, masłem i miodem. Obrzydlistwo! Pić i nie grymasić, bo jak nie, to tylko zastrzyki, krótko i dosadnie, natychmiast pomagało. Oj, bardzo był bogaty ten wachlarz

zapachów mojego dzieciństwa. Zgodny z naturą, siermiężny i cuchnący, pozbawiony chemicznych pachnidel. I wielkich słów. Przynosił wspaniałe, zdrowotne i wychowawcze rezultaty.

JNW:

To prawda, nie opłacało się chorować w tamtym czasie, bo jak się zachorowało, to metody były szybkie, krótkie i dokuczliwe. Ale mi przypomniało się ja tego okropnego mleka z masłem, z miodem i z czosnkiem, to do dzisiaj, jak mi się czasem przyśni, to jest coś paskudnego. Natomiast wiesz co, Ola, było takie lekarstwo, które wszyscy gremialnie, żeśmy na...jesienią i zimą musieli przyjmować. I to było i w szkole, i w domu. To był tran. To był tran. Była jedną łyżeczką, cała klasa była tym tranem obleciana. Jakoś ja nie wiem, że nikomu z tego powodu nic się nie stało. Czasem na otarcie łez to był kawałek, malutki kawałek chleba posypany solą, bo to nie był taki tran jak dzisiaj, że on jest bezzapachowy. To był taki tran, który pachniał na kilometr w te i nazad, więc jak się człowiek tego tranu napił, to już mu się nic do końca dnia naprawdę nie chciało. Ale ponieważ to było skuteczne lekarstwo, a do tego jeszcze wszyscy wiedzieliśmy, że po prostu jest mus, to jest mus. Trzeba pić tran to trzeba pić tran. Nikt tam specjalnie nie buntował. Natomiast przypomniała mi się taka historia związana z doktorem Grońskim. Doktor Groński to była taka postać, to był wielki autorytet pediatriczny, ale on miał bardzo specyficzne metody leczenia. I ja pamiętam taką sytuację, że jak już byłam u niego z moim synem, czyli to już było czwarte pokolenie, które korzystało z jego wiedzy i jego umiejętności, dobiega mnie, siedzę w poczekalni i dobiega mnie głos doktora: "Ale proszę pani, to tak co najmniej trzy razy dziennie, trzy rundy dookoła śmietnika." "No ale jak to, panie doktorze, dookoła śmietnika?" - na to odpowiada klientka. "No tak, wie pani, tak tylko blisko śmietnika." No i kobieta wychodzi, taka zdezorientowana, bardzo zdenerwowana, a ja żartem doktorowi zadaję pytanie "A doktorze, a co to za terapia dookoła śmietnika?" A doktor mówi tak: "Normalna terapia, dziecko musi jakieś bakterie, gdzie się z tymi bakteriami spotkać, a mówi, a to wszystkie te młode matki, to takie jałowe, że tym dzieciom żadnych bakterii nigdzie nie dostarczają, to to dziecko z jednej choroby wychodzi, a w drugą chorobę wchodzi." No i to trzy razy dziennie dookoła śmietnika, to sobie zapamiętałem, że to jest bardzo dobra terapia.

AK:

Ja tranu nie cierpiałam, natomiast muszę powiedzieć, że chyba wychodzi, że jako jedyna ja te masło z czosnkiem, z miodem i z mlekiem bardzo lubiłam. Naprawdę, bardzo dobrze wspominam i piłam, i bardzo lubiłam. Naprawdę, jestem zdziwiona. Przejdźmy w takim razie do szkoły. W tym roku obchodzimy 80-lecie śląskiej oświaty. Chciałam zapytać o wspomnienia szkolne i zapytać o to, czy wszystkie dzieci chodziły do szkoły?

JNW:

Tak, wszystkie dzieci chodziły do szkoły. Czy to były dzieci cygańskie, czy były jakiegokolwiek inne. Przymus szkolny był obowiązujący. Ale szkoła, do której ja chodziłam, to jest dzisiejsza szkoła specjalna. To była wtedy szkoła numer 6. Bardzo biedna szkoła. To była szkoła, w której były jeszcze piece. Klasy były małe. Śmieję się, że kible to były takie, że to były tak jak syberyjskie kible do odganiania wilków. W jednej ręce. Jedną ręką się trzeba było trzymać, drugą się kicało, żeby nie wpaść do tej dziury, bo ta dziura była wyrżnięta w ziemi. Ale one były przynajmniej o tyle higieniczne, że podczas każdej przerwy były wszystkie dokładnie

zmyte i nic tam nie zostawało i były przynajmniej bezpieczne. Natomiast sama szkoła była, w mojej opinii, miała jedną dobrą rzecz. Wszystkie ławki były dostosowane do wzrostu dzieci. W pierwszej ławce, która była najniższa, siedziały najniższe wzrostem dzieciaki, a później im dalej w tył klasy były coraz wyższe ławki, więc dryblasy, które się w każdej klasie trafiały, to już siedziały w ławkach bardzo wysokich. Te ławki były jeszcze bardzo ergonomiczne i one wymuszały siedzenie prosto. Dzisiaj na tych krzesłach i na tych chwiejących się stolikach to nie widziałam, żeby dzieci prosto siedziały. Natomiast te ławki ponemieckie jeszcze wymuszały siedzenie proste, nogi musiały być proste pod tą ławką, nie jakieś tam powyginane, powykrzywiane. Tornister był schowany, nie walał się po podłodze, więc jakby pod tym względem było to moim zdaniem bardzo zdrowe. No i zdrowe było to, że wszyscy na wszystkich przerwach biegali po podwórku, grali na podwórku w piłkę, więc jakby ten ruch, który jest potrzebny dzieciom, żeby im, za przeproszeniem, mózg się nie zlasował, to tam miało to miejsce. Może moje szczęście też polegało na tym, że kiedy zacząłem edukację, większość to byli jeszcze przedwojenni nauczyciele. Może i dlatego, jak byłem teraz na uroczystości osiemdziesięciolecia oświaty, nie bardzo podobał mi się sposób pokazania tamtej szkoły, czy tamtego czasu, jako takiej bardzo ideologicznej. Ta ideologia owszem była sobie, ale ona nie miała żadnego znaczenia, to było tak jak dekoracja na ścianie, że na ścianie wisiał Bierut, ale nikt mu się nie przyglądał, nikt się nim nie zajmował, on po prostu tam był. Natomiast sama szkoła była szkołą bardzo solidną, solidną. Edukacja była bardzo solidna i to jest tak, że to była edukacja niewymuszana. Jakby ja uważam, że moim największym szczęściem i największym szczęściem tego pokolenia urodzonego po wojnie była ta możliwość edukacji, edukacji każdego, każdego, kto tylko mógł się, chciał się uczyć, to on uczyć się mógł. Ja jako dziecko robotnicze nie wiem, czy miałabym taką szansę przed wojną, nie wiem, czy miałabym taką szansę. Uważam, że to jest największy sukces tego czasu socjalistycznego, który teraz od czci i wiary jest tak bardzo odsądzony na wszystkich płaszczyznach, ale dla mnie edukacja była najcenniejszym, co mogłem dostać od życia w tych latach pięćdziesiątych, latach sześćdziesiątych.

AK:

Będąc jeszcze przy temacie szkoły, chciałam zapytać, jak wspomina pani te prace takie zespołowe, grupowe, które się wykonywało?

JNW:

To właśnie to jest ważne, bo to jakby dzisiaj jest, klasa jest zbiorowiskiem indywidualności. Każdy jest indywidualnością, każdy ma do wszystkiego prawo, każdy ma jakieś swoje widzimisię, natomiast ta szkoła z lat pięćdziesiątych, lat sześćdziesiątych to była szkoła, gdzie się liczyła cała klasa, gdzie się liczył zespół. I ona działała w ten sposób, że bardzo wiele działań musiała podejmować cała klasa, jedna grupa. Na przykład było autentycznie prawdziwe współzawodnictwo przy noszeniu makulatury. Każda klasa starała się zebrać jej jak najwięcej, ale miało to swoje uzasadnienie. Im więcej było tej makulatury, tym więcej pieniędzy mogło być przeznaczone na wycieczkę klasową, no wszystko jedno, gdzie, nawet choćby to była wieś gdzieś tam pod Słupskiem. Takie zbiorowe były najrozmaitsze czyny społeczne typu tu posprzątać, tam posadzić drzewka, tam zrobić coś w parku. Jakoś nikt się przeciwko temu nie buntował. Nie było to problemem, bo robiło się to szybko, ale potem była zawsze jakaś nagroda za to. To był ten wyjazd. Wykopki niechciane, nie lubiane, ale było zawsze przy tym więcej zabawy niż tego rzeczywistego zbierania, a potem za to była nagroda

w postaci ogniska, pieczonych ziemniaków, co też było dla dzieci z miasta wielką atrakcją. I wydaje mi się, że tego w dzisiejszej szkole brakuje, działania zespołowego, działania jako grupy.

UK:

Ja mam taki wiersz.

Elementarz. Uczyłam literek, oni mnie wsłuchiwania. Ala z Asem mieli dom i mamę.

Dziewczynka płakała. Na obrazku był tata. Chłopiec oddał pustą kartkę.

W elementarzu jasno i dobrze. Prawdziwe rysunki, trudne pytania. Kochane fartuszki zginały cierpliwość jak trzcinę. Na pomoc przybiegały wyrozumiałość i zaufanie. Kreda biała, tablica czarna, jednoznaczne drogowskazy. Dorastaliśmy razem.

Moje wspomnienia jako nauczycielki.

JNW:

No właśnie, dorastaliśmy razem, ale teraz przypomniałaś mi Ula o jednej bardzo ważnej sprawie, która dzisiaj jest ogromną bolączką szkół i nie wiedzą, co z nią zrobić. To były masowe, masowa troska o zęby. W każdej szkole był dentysta, w każdej szkole był dentysta. Co prawda jak te zęby były leczone, tak były, ale ja dopiero w ubiegłym roku usunęłam plombę, którą mi w pierwszej klasie założyli, więc choć to było brzydkie, ale tyle lat wytrzymało. Co jeszcze było? Takie sprawdzanie rąk, uszu i włosów. Dzisiaj podobno nie można tego w szkołach zrobić, a wszawica jest taka, że nauczyciele ręce załamują. Ale wtedy wszawica też była, ale z tą wszawicą po prostu od razu na pniu walczone. Każdy poniedziałek był przegląd. Wiadomo było, że klasa A czy klasa B idzie do pielęgniarki i pielęgniarka patrzyła w paznokcie, włosy, uszy i decyzje dotyczące delikwenta. Jak miał wszy, to od razu na następny dzień w szkole już go nie było. Wiadomo było, że to lekarstwo na wszy też było śmierdzące, jak jasna cholera, jak ktoś później przychodził do szkoły, to jeszcze parę dni śmierdział. Ale to było normalne. Natomiast jak dzisiaj sprawdzać głowy dzieciom, jak to wszystko jest, wolność taka wielka, że tknąć nie można, a dzieci wszy noszą. To jest ta różnica, że wtedy było powiedziane, że trzeba, no to trzeba.

AK:

Dzisiaj też sobie z tym radzą. Rodzice raczej wyrażają zgody na takie rytuały. Ale mówiąc o rytuałach, to chciałam zapytać, jak wyglądał niedzielny rytuał na ulicy Wojska Polskiego? Albo rytuał rodzinny?

JNW:

O, jedno było najważniejsze, niedziela. Niedziela to był dzień święty, święcić, dokładnie. Ale tak jest też w tradycji pomorskiej. Dzień święty święcić, spędzać z dziećmi. Niedzielę spędzać z dziećmi. Niedziela się zaczynała od jajecznicy rano. U mojej mamy powyżej godziny dziewiątej to już było przestępstwo, jak ktoś był w łóżku, więc wiadomo było, że wszystko się musi do godziny dziewiątej zakończyć. A potem była wyprawa do kościoła, a z kościoła albo do kina na poranek, a wtedy, kiedy były nowe premiery w Teatrze Lalki Tęcza, który mieścił się wtedy na ulicy Sienkiewicza, na drugim piętrze, w zwykłym, prywatnym mieszkaniu. Ja do dnia dzisiejszego pamiętam ogromny gong i ten gong, dźwięk tego gongu, mimo upływu 70 lat, ja ten dźwięk dalej pamiętam, czyli on musiał być ogromnym przeżyciem dla

dzieci. No i oczywiście kino to było coś szczególnego. Mieliśmy tu w pobliżu aż dwa kina, więc nie było tak mało. To była Polonia i było kino w Domu Kultury Kolejarza, ale w kinie Polonia pamiętam swój pierwszy film, miałem wtedy 3 lata i to był "Konik Garbusek". I pamiętam, że ten Konik Garbusek, jak otworzyli drzwi, to ja czekałem, że ten Konik Garbusek teraz do mnie w tych otwartych drzwiach nagle przyjdzie. I to była tak silna iluzja i tak silne przeżycie, że pozostało na dziesiątki lat. No to ta niedziela jeszcze wiązała się z tramwajami, bo tramwaj jechał tak sobie tu, tu, tu, tą stroną, tu, tu, tu, tu, jechał dalej do miasta i do Lasku Południowego i w tym Lasku Południowym w niedzielę od samego rana zaczynały się tu na przystanek, a przystanek był dokładnie na wprost tego sklepu, co jest po drugiej stronie ulicy, to na ten przystanek "jedyński" były tłumy słupszczan z koszami, z siatkami, w których było jedzenie i był wyjazd albo do lasu, albo do Lasku Południowego albo nad rzekę. Jak było ciepło, to nad rzekę, a jak było trochę chłodno, to do Lasku. I jakby ten dzień święty właściwie był taki, że czekaliśmy wszyscy na niedzielę, bo to tę niedzielę spędzało się wspólnie, razem, razem z innymi. To było takie bardzo piękne.

AK:

A jeszcze wspominała Pani o Parku Jordanowskim, który mieścił się na ulicy Niedziałkowskiego?

JNW:

Tak, to była jeszcze jedna, jeszcze jedna działalność państwa Czaplińskich. Państwo Czaplińscy, założyciele Tęczy.

Tu, gdzie dzisiaj mieści się ten budynek, szklany budynek SCOPiES. Tam był ogródek Jordanowski. I Pan Czapliński znany był z tego, że... I tam był taki bardzo malusieńki park. Na środku była ogromna piaskownica, do której Pan Czapliński wypożyczał ciężarówkę. Tymi ciężarówkami wodziło się potem w ogródku Jordanowskim piach. Natomiast w takiej szopie trzymał rowerki i hulajnogi. Hulajnogi się nie cieszyły wzięciem, ale rowerki to było tak, że robiło się jedno kółko, schodziło się z rowerku, rowerek dostawała następna osoba i szło się od początku do kolejki. Jak Pan Czapliński kończył...to jeszcze kilka dni temu mój brat mówił tak: "A pamiętasz, jak Pan Czapliński mówił, rowerki, koniec, a my wszyscy w płacz, że nie chcemy, żeby był koniec." No ale na tych rowerkach nauczyliśmy się jeździć. Zanim później nauczyliśmy się jeździć na prawdziwych męskich rowerach z nogą pod ramę, bo inaczej się nie dało, bo nikt z nas roweru nie miał. Więc kilka rowerów na ulicy jak było, to były wielkie skarby.

AK:

Chciałam jeszcze zapytać o miejskie imprezy, na przykład o wspomnienia z takich świąt, jak 1 Maja. Jakie to wspomnienia?

JNW:

Właśnie ten 1 Maja też jest dzisiaj wyklęty trochę i tak mówi się o nim w takim bardzo minorowym tonie, jako jakieś tam święto, które powinno zostać skreślone. A ja pamiętam, że było to święto po prostu towarzyskie. Nikogo tam nie bolały ani te transparenty. Były, bo były, ale ten czas przejścia po pochodzie, w pochodzie to był raptem ileś tam minut, a potem to była sama wielka radość. Baloniki, te kurczaczki takie, motylki, piszczałki, takie pińeczki,

które się odbijało. Pierwsze lody jadło się dopiero w dniu pierwszego 1 Maja po pochodzie w Zielonej Budce. Tam też w tym parku były stoiska, gdzie kiełbasę dorobili jedli. Jeszcze coś więcej Ci się przypomniało? W każdym razie to było takie święto towarzyskie i tak też ja je tak pamiętam. Nie pamiętam jakiejś ideologii związanej z 1 Maja, bo dla mnie istotniejsze były te baloniki i te lody, na które wszyscy czekali niż cała reszta.

AK:

A teraz przeskoczmy troszeczkę dalej. Chciałam zapytać, gdzie spotykała się słupska młodzież? Gdzie chadzała słupska młodzież? To już był czas, kiedy byłam w ogólniaku, czyli lata 60. Jaki to był czas? To też był zupełnie inny czas. Światowa kariera Beatlesów, których my mogliśmy posłuchać jedynie z radia Wolna Europa. Wielkie, przeniesione jakimiś tam drogami od ludzi przebywających na Zachodzie, pokazywanych zdjęciami, nagraniami na płytach. Wielka kariera hipisów, dzieci kwiatów. To wszystko w jakiś sposób na nas wpływało, a my jednak byliśmy zamknięci w dość szczelnej puszcze, więc chociaż w jakiś sposób czuliśmy tę łączność z nastolatkami tamtych krajów w taki sposób bardzo zewnętrzny. Ciuchy, kolorowe ciuchy, włosy. Ja pamiętam, że miałam takie wielkie afro nakręcone, że moja mama jak zobaczyła, jak pierwszy raz nakręciłam te włosy i rozpuściłam takie afro, to mała nie zemdląca, a nauczycielka w szkole przyniosła mi takie sznurki od kwiatków i kazała te włosy zawiązać. No więc z tymi kokardkami, takimi wyglądami jak Pippi Langstrumpf albo jeszcze gorzej, bo to były takie dwie wielkie miotły. Jedna miotła z jednej strony, druga miotła z drugiej strony. No ale to było jakieś takie poczucie, że jesteśmy oryginalni, jesteśmy inni od pokolenia naszych rodziców. Koniecznie się chcemy od nich odsunąć, chcemy mieć swoją własną muzykę, chcemy mieć swoją własną modę. No i jakby takim wybiegiem dla tej takiej młodzieżowej mody była właśnie ulica Wojska Polskiego. Tutaj na Wojska Polskiego wszystkie nastolatki się spotykały. Nie było tak dużo tych średnich szkół, żebyśmy się nie znali. Więc znaliśmy się przynajmniej z widzenia z tych wędrowek tutaj. I te wędrowki kończyły się gdzieś na wysokości Kościoła Mariackiego i bardzo miejscem, do którego chcieliśmy wejść, do którego wchodziliśmy trochę z takim niepokojem, to była kawiarnia Czar na tyłach dzisiejszego Cepelina. Taka kawiarnia, jakby tak, że w szkole średniej nie mówiono, że jest zakaz, ale nie było mile widziane łożenie po kawiarniach, a dla nas napicie się tej herbaty w towarzystwie kolegów czy koleżanek z klasy czy takich właśnie znanych z widzenia, to było coś takie bardzo atrakcyjne. No więc wszystkie kawiarnie tak żeśmy, kiedy można było to na tę herbatę, bo pieniędzy specjalnie od rodziców nie było mowy, żeby można było dostać pieniądze na coś takiego, jak wydawanie pieniędzy na herbatę, jakby nie można było tej herbaty się w domu napić. No ale to wiadomo, przecież było, że nie chodziło o herbatę, tylko o posiedzenie w tej, z tymi koleżankami czy kolegami. Natomiast miejscem, gdzie chodziło się na tańce, to była siedziba dzisiejszego, siedziba przedwojennego Banku Gdańskiego, a dzisiaj jest to pierwszy budynek na ulicy Sienkiewicza, gdzie w tej chwili chyba jest zamknięty, bo tam u góry wiem, że jest jakieś biuro poselskie, ale na parterze chyba tam dalej nic się nie dzieje. Tam przez długie lata był później lumpex, ale to był klub Plejady i w tym klubie Plejady przychodziło się na tańce. Muzyka oczywiście była taka jak wszędzie na świecie, bo płyty przemycano do Polski w sposób zdecydowanie ciekawy, bo nie wolno było tego robić, ale te płyty były i tych płyt słuchaliśmy. Oczywiście też, no bardzo popularne były, ale to już to już jest nic nowego, prywatki, bo one się odbywały w każdym czasie. Więc jakby tak, za czasów moich rodziców na prywatkach się piło i śpiewało. Za moich czasów słuchało się muzyki, też się piło, ale już się nie śpiewało.

AK:

Dziękuję panią bardzo serdecznie za rozmowę. Dzisiejsza rozmowa to oczywiście Pani, gościnią dzisiejszą oczywiście jest pani Jolanta Nitkowska-Węglarz i pani Urszula Kwapińska. Bardzo serdecznie dziękuję.